



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## ZADUSZKI.



**B**yla to nocka na dworze sina  
 Gdy zmarła matce Maryś jedyna,  
 A szły przez niebo gwiazdeczki mgławce,  
 Świeciły rosy perełki łzawe.  
 A po tej rosie, jak mgiełka biała,  
 Szła sobie dusza Marysi mała.  
 Szła od rodzonej, od swojej matki  
 Drożynką wąską, gdzie rosły kwiatki.  
 I coraz wyżej, wyżej ku górze,  
 Gdzie rannej rosy zakwitły róże,  
 Gdzie się srebrzyła jutrzienka świtu,  
 Szła po tej drodze jasnej z błękitu.  
 A kiedy dzwonek zadzwonił rauny,  
 Stała przed Tronem Najświętszej Panny,  
 Stała w tej świtce, zgrzebnej koszuli  
 Tak jak chodziła u swej matuli.  
 Ale ta odzież skromna, uboga  
 Jak gdyby szata świeciła droga.  
 Tak wyzłoćilo ją słonko boże  
 Pomalowały różane zorze.  
 Równo z anioły, choć biednie, boso,  
 Z pól naszych kwiatów zroszonych rosą,  
 Wianuszek świeży miała na skroni,  
 Świętej Maryi obrazek w dłoni.  
 A w chacie matka ścierała łezki,  
 Choć dała dziecig Matce niebieskiej,

Choć do pałaców nieba anieli  
 Za swoją družkę dziecinę wzięli.  
 Ale matusia myśli: nieboże —  
 Toć to chudziątko zgrzeszyło może,  
 Nieraz uporem matkę zmartwiło  
 Lub rówieśniczkom swym dokuczyło,  
 Lub zapomniało zmówić pacierzy, —  
 I lzy jej płyną, sobie nie wierzy  
 Tak jakoś pusto, jakoś samotno,  
 I tak jej w sercu jakoś markotno.  
 I wciąż jej śni się duszyczka smutna  
 Za ziemskie grzechy niby pokutna,  
 W zgrzebnej płachcinie boso, na słońcie  
 I przeznaczona ciężkiej robocie.  
 To wodę dźwiga w ogromnym dzbanku,  
 To nosi drewnka po chłodnym ranku,  
 A jak na matuś pojrzy jedyną,  
 To jej jak rosa łezki popłyną,  
 I szepnie — módl się matuś jedyna,  
 Bo na mnie cięży nie jedna winą.  
 To też jak błysnął dzień zaduszkowy,  
 Taki bezbarwny i taki płowy,  
 Jak smutek w duszy pełen żałoby,  
 Szła sobie matuś pomiędzy groby,  
 I na mogiłce świeczkę paliła,  
 I tam się długo, długo modliła,

I krzyżyk w białe stroiła kwiatki,  
I słała prośby do Bożej Matki,  
Co westchnie, z oczu łza jej popłynie,  
Przebac Maryo mojej dziecinie!  
Wróci do chaty — juźci zmierzch szary,  
Jeno przez małe okienek szpary  
Majaczy sobie brzask sino-krwawy,  
Bryzga na ściany, obrazy, lawy.  
Siadła matusia pod kądziel białą  
Nim zmierzch zagasi zorzeńkę całą,  
A co wysnuje nitkę srebrzystą,  
To już łzę z oka uroni szklistą.  
Aż nagle spojrzysz — Święci Anieli!  
Toć to jej Maryś stoi tam w bieli,  
Wianuszek z kwiatów błyszczący na skroni,  
Maryi obrazek trzyma w swej dłoni.  
A taki od niej blask, że aż mroczy,  
Radością niebios błyszczą jej oczy.  
I szepce: — Matuś, tyś się modliła,  
Już mnie modlitwa twoja zbawiła,  
Twoja modlitwa, twoje pacierze,  
Oj! żałowałam i ja też szczerze!  
Idę raz jeszcze przeprosić ciebie,  
I dziś już będę w złocistym niebie.  
Krzyknie matusia, biedz się porywa,  
A duch Marysi w mgłę się rozplywa,  
Przeciera oczy, a zamiast mary,  
Pusto już w chacie, zmierzch tylko szary...

Marya S.

## O ROBÓTKACH WAKACYJNYCH.

Stos sukienek, koszulek, kaftaników i fartuszków leży przed nami — bogaty plon tegorocznego lata, dowód miłości bliźniego i pracowitości czytelniczek naszych.

„Cegielka do cegielki, a jako kto może  
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże!”

Mówi poeta, a zasadą tą szlachetną przejęły się widocznie serduszka tych panienek, które wezwane przez nas, z zapalem i wytrwałością pracowały w czasie wolnych chwil wakacyi, by złagodzić smutną dolę najbiedniejszych dzieci naszego miasta.

Jeżeli już samo zadowolenie po spełnionym dobrym uczynku, najcenniejszą bywa nagrodą, my jednak, w imieniu tych, którym się owe ubranka dostaną, przesyłamy wam, miłe panienki, szczerze: „Bóg zapłać!” a czynimy to tem chętniej, że rozglądając po szczególe każdy przedmiot, każde najdrobniejsze nawet jego wykończenie, zauważyliśmy tak wielkie staranie, że prawdziwie byliśmy w kłopotcie, które z pomiędzy nich wyróżnić. A już z rzeczywistym rozrzwaniem oglądaliśmy koszulki najmłodszych pracownic, bo zasługa ich tem większa, im trudniejsze było zapoznanie się z igielką.

Lecz nie ustawajcie w dobrem! Niech wam nasze słowa uznania będą zachętą i nadal, do pamięci o niedoli bliźnich, do ukochania pracy, która daje tak błogie chwile, jakich zakosztowałyście niezawodnie, szyjąc ubranka złożone w naszej Redakcyi.

Na nagrody pierwsze za bardzo staranne wykończenie swych robótek zasłużyły:

14 letnie: Trawka ukraińska, Kwiaciarka i Łyżwiarka.

13 letnie: Świtezianka, Wisienka, Marylka K. i Konwalijka z nad Bachorzy. 12 letnie: Marylka Sandomierzanka, Murzynka, Laszka, Brzoza, Zabka zielona i Sikorka. 11 letnie: Różyczka ukraińska i Mysza. 10 letnie: Stasia Kociuszkowa, Janinka Juriewicz, Stokrotka Matwiejkowska,

Helenka K. 9 letnia Strzałka. 8 letnia Lilijka. 7 letnia Jadzia Kulbacka. 6 letnia Nusia i 5 letnia Kicia.

Na nagrodę drugiego stopnia: 13 letnie: Polska dziewczeczka, Hela Sandomierzanka. 12 letnie: Wańdzia Sandomierzanka. 11 letnie: Kózka i Julia Zarzecka. 9 letnie: Srocza z Ukrainy i Jadwinia Sandomierzanka.

Na pochwałę zasłużyły: Gwiazdka mrugająca, Józia D. Stasia O., Rybka wiślana, Bławatek, Koniczynka, Zosia W. i Marychna Z.

Nie ubiegające się o nagrodę, jako starsze, przysłały jeszcze starannie wykończone robótki: Zosia Sandomierzanka, Szara przędza, Lucia K. i Stasia W.

O ile to jest możebnem prosimy o odbieranie nagród w Redakcyi.

## W STAROŻYTNYM RZYMIE.

Nie wątpimy, że czytelnicy nasi, uczący się historii starożytnej, wiedzą o świetności i potędze dawnego Rzymu tego sławnego miasta, którego widok współczesny zamieściliśmy w poprzednim numerze Wieczorów.

W pogańskich jeszcze czasach mieszkańcy jego posiadali liczne nabytki cywilizacji, mieli wspaniałe gmachy, świątynie, różnym bóstwom poświęcone, pałace i cyrki, a obyczaj ich, lubo pogański, były jednak wykwiśnięte. Lubili towarzystwo, zbierali się na widowiskach, zapraszali na uczy, od wiedzali się wzajem.

W ten to starożytny świat rzymski chcemy was wprowadzić, aby wam pokazać w jaki sposób żyli, ubierali się, pracowali i bawili ludzie przed dwoma tysiącami lat blisko. Jakie były ich sztuki, rzemiosła, życie domowe. Jaką była rodzina i stosunki wzajemne, wy zaś porównajcie w myśli to co było dawniej, z tem, co jest dzisiaj.

### I.

#### Mieszkanie patrycyusza.

Na siedmiu wzgórzach wznosił się starożytny gród Romulusa,—Rzym, przecięty żółtymi falami rzeki Tybru. Przy patrzeniu się życiu jego mieszkańcom podczas panowania cesarza Augusta, to jest osiemnaście wieków wstecz, gdy już pierwsze brzaski chrześcijaństwa zawitały do wielkiego miasta by je odrodzić i ostateczny cios zadać pogaństwu. Jowisz wraz z innymi bóstwami i boginiami mitologii greckiej jeszcze tu panuje, lecz coraz głośniejsze są posłuchy o nowej wierze, o Zbawicielu świata.

Zanim pomówimy o katakumbach, czyli podziemiach w których gromadzili się pierwsi chrześcijanie, zajmijmy się najpierw wyglądem ulic miasta. Tuż przy murach, które gród otaczają, stoją gęsto rzędy domów klasy ubogiej; w każdym z nich prawie jest oberża, w której przyjezdny znajdzie mniej lub więcej wygodne pomieszczenie i mniej lub więcej smaczne jadło. Dopiero poza niemi rozrzucone są prywatne domy magnatów i bogaczy Rzymu, czyli patrycyuszów. Te ich pałace wcale nie były do naszych podobne. Przewszystkiem uderza w nich brak okien, wychodzących na ulicę. Okna, mają tylko domy plebejuszów, ludzi biednych żyjących z pracy rąk własnych. Patrycyusz troskliwie zasłania ognisko rodzinne przed okiem ciekawych. Jego dom to kwadratowy, jednopiętrowy budynek, z jedną frontową bramą poza domem rozciąga się ogród cienisty.

Jeśli zastukamy do podwoi dębowych, ozdobionych gwoździem z błyszczącego brązu, otworzy je nam odzwierny, biedny niewolnik, łańcuchem do swej izdebki okrutnie przykuty. Cała służba patrycyuszów składała się z niewolników. Był to po większej części jeńcy wojenni, Grecy, Libijczycy, Scytowie, Germanie. Grecy odznaczali się wykształceniem, Libijczycy zaś siłą.

Skoro nam już niewolnik odźwierny bramę otworzył, zobaczymy jak też wygląda wnętrze patrycyuszowskiego domu. Za progiem stajemy w sieni, zwanej *proitro*, poza którą rozciąga się *atrium* — podwórze, wybrukowane tafelkami z białego i czarnego marmuru. Odźwierny tymczasem odpędza od nas wiernego stróża domu, wielkiego psa, który głośnym, zajadłym szczekaniem oznajmia przybycie gości. Zły to pies być musi, skoro pod naszymi nogami widnieje na marmurze wyryty napis: „Strzeż się psa” (*cave canem*).

Pies umilkł wreszcie, więc nie nam nie przeszkadza zajrzeć do kwadratowego *atrium*; wprost sieni widzimy wielkie, zaokrąglone wejście, zakryte zasłoną lnianą, po bokach mniejsze wejścia wiodą do bocznych *korytarzy*; zaś pozostałe trzy strony podwórza zdobi portyk, czyli galeria, na kolumnach wsparta.

Ponad *atrium* wznosi się dach płaski, przebity w środku otworem, przez który wpada dzieńne światło, a także deszcz w razie niepogody; to też pod otworem stoi na podwórze wielka cysterna kamienna, w którą spływają deszczowe wody. Pod kolumnami portyku, w niszach stoją woskowe popiersia przodków gospodarza domu, niby nasze dzisiejsze portrety familijne. Widzimy ztąd, że owo pierwsze podwórze, owo *atrium*, zajmować musi w domu poczesne miejsce, a jeszcze lepiej nas o tem przekonywa widok ołtarza stojącego w jednym z rogów. Jest to ołtarz, poświęcony opiekuńczym bożkom domowym *penatom*, na którym sama pani domu rozpałała codziennie wonny ogień w ofierze. Tak więc *atrium* zawierało w sobie wszystkie świętości rodzinne.

Pierwotni Rzymianie mieszkali w rodzaju drewnianych szałasów, a później dopiero nauczyli się dzielić dom na pokoje i zastępować w budowlach drzewo paloną cegłą, lub kamieniami. Otóż główne *atrium* zajmowało w rozkładzie domu miejsce owej pierwotniej izby, nic więc dziwnego, że w niem rozniecano ogień ofiarny ku czci bożków domowych.

Jeżeli odchyliny zasłonę, rozciągniętą w głębi dziedzińca, ujrzymy salę przyjęcia *tablino*. Tutaj na czerwonym tle ścian widniały pięknie malowane sceny mitologiczne.

A jakąż śliczną podłogą! Z drobnych kolorowych kamieni ułożono tu obraz przedstawiający grupę osób, zajętych rozmową. Takie obrazy robione z drobnych kamieni noszą nazwę mozaiki i przenoszą trwałością wszystkie inne. Sztuka ta przechowała się do dni naszych. W Rzymie dotąd wyrabiają nietylko mozaikowe posadzki, lecz także stoły, podstawki, wreszcie broszki, bransolety, śpilki do krawatów i t. p. drobne przedmioty.

Sala w której Rzymianie przyjmowali swoich gości, służyła głównie do rozmowy, więc treść mozaikowego obrazu odpowiadała głównie jej przeznaczeniu. W sali jadalnej znów ujrzymy na posadce sceny z polowania, łowienia ryb, w bibliotece wyobrażenia Apollina i dziewięciu Muz, słowem z posadzki można było domyślać się, do czego służy dany pokój.

Ogród otacza portyk kwadratowy, w którym wesoło szemrzą wodotryski. Między marmurowymi kolumnami portyku stoją marmurowe urny, pełne rzadkich, wonnych kwiatów, oraz piękne posągi. W ogóle w starożytnym Rzymie biały lub żółkowy marmur należał do najpospolitszych kamieni.

Poza *atrium* i perystylem dom patrycyusza rzymskiego zawierał kilka jeszcze dziedzińców, przez które dochodziło światło do pokoi sypialnych, gościnnych, do kuchni i spiżarni. Zwykle drzwi zastępowały okna, szyb wówczas nie znano i w razie wielkiej niepogody, lub zimna, zamykano otwory okienne drewnianymi kłapami, niby dzisiejszemi okiennicami. Rzymianie zresztą, dobrze zahartowani, mało zważali na chłody zimowe, stale nosząc strój, który nogi i ramiona zostawiał obnażone, czasami tylko pokrywając je fałdystym płaszczem.

Kobiety nosiły długie suknie, lecz ręce i ramiona również miały obnażone.

Każdy patrycyusz część domu poświęcał na łazienki, w których urządzano kąpiel parową, czyli łaźnię, dalej kąpiel z wody zimnej i wreszcie z cieplej. Łazienki poprze-

dzał pokój, zwany ubieralnią; było to jednak ulubione miejsce do prowadzenia gawędy. Istniały też łaźienki publiczne, a obok nich wielkie place, na których młodzież rzymska, po kąpielu, zabawiła się mocowaniem i gimnastyką, które wyrabiały w nich siłę i zręczność. Tutaj także filozofowie wygłaszali swoje teorie, poeci deklamowali nowe utwory, słowem kąpiele zamieniły się w miejsce tłumnych zebrań, były pozorem niejako do przepędzenia czasu w sposób wesoły i przyjemny, a każdy znaleźć tu mógł taką rozrywkę, jakiej zapragnął. Zakłady kąpielowe starożytnego Rzymu noszą dotąd łacińską nazwę *termy*, a do najpiękniejszych gmachów miasta zaliczano *termy* zbudowane przez Agryppę, że stu siedemdziesięcioma łaźienkami, gdzie przez cały rok po ich otwarciu nie pobierano opłaty za kąpiele.

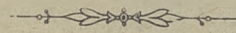
Rzymianie posiadali zaletę czystości; było u nich w zwyczaju, że przed każdym jedzeniem obmywali sobie ręce i nogi; po kąpielu znów, wielu patrycyuszów niewolnicy nacierali wonnymi olejkami, co nadawać miało giętkość członkom, a skórze miękkość.

Rzymianie postępowali według zasad dzisiejszej higieny, która każe w czystości szukać podstawy zdrowia, a w gimnastyce siły mięśni i zręczności ruchów. Wprawdzie już przed panowaniem Augusta pewna zniewieściałość wkradła się do obyczajów rzymskich, bogata młodzież większą część dnia spędzała w kąpielach na czezej zabawie, plotkarskiej rozmowie, zlewała się pachnidłami i wogóle dbała więcej o piękną powierzchowność, aniżeli o kształcenie umysłu i przysposabianie się na dobrych obywateli kraju.

Można powiedzieć że kąpiele zastępowały w Rzymie nasze cukiernie, gdzie całe godziny ludzie spędzają na grze bilardowej; o ileż jednak zdrowsze były przestrone, pełne powietrza starożytne zakłady kąpielowe, od zadymionej, dusznej cukierni!

Jeśli w każdym domu były kąpiele, to znów większość patrycyuszów posiadała biblioteki. W obszernej, kwadratowej zwykle sali, stały pod ścianami szafy, tak, jak widzimy i w naszych bibliotekach, lecz jakżeż same książki różniły się kształtem od dzisiejszych? Każdy tom to bardzo długa wstęga papyrusu, zwinięta około kościanej pałeczki. Papiirus zaś, to rodzaj bardzo mocnego papieru, wyrabianego z trawiastej rośliny tejże nazwy, od której powstał nasz wyraz — papier.

(d. c. u.)



Marya Łopuszańska.

## W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

III.

Nadeszła wreszcie przewidywana chwila; łowczy umarł na rękę syna, na którego spadły naraz wszystkie obowiązki, bo matka, złamana boleścią, nie mogła o niczem innem myśleć, jak o swojej stracie, a pan Zuk przywykł, żeby nim we wszystkim kierowano, także zupełnie stracił głowę.

Dopóki ojciec żył i wspierał go swojemi radami, Andrzejowi nie wydawały się jego przyszłe obowiązki tak trudnemi, dopiero teraz poczuł cały ich ciężar, kiedy pozostał sam jeden i zmuszony był myśleć i działać za wszystkich. Matka, przywykła zawsze szukać rady i wsparcia u męża i ulegać mu ślepo, teraz nie mogła się oswoić z myślą, że nie stało tego, który był dotąd głową domu i opiekunem całej rodziny; zdawało jej się, że wraz z jego śmiercią świat się kończy. Pomiło że Andrzej starał się wszelkimi siłami by gospodarstwo

szło tak samo, jak za życia ojca; matka wciąż powtarzała z żalem i goryczą:—Nie tak to było za życia ojca; oj, przepa-dniemy biedne sieroty bez niego!

Słowa podobne sprawiały przykrość Andrzejowi, ale nie okazywał tego, pomny, że wywoływał je słuszny żal po zmarłym, którego strata w istocie była dla rodziny niepowe-towana. Poprzysięgał sobie tylko w duchu, że będzie się starał o ile to w jego mocy, by zastąpić choć w części ojca. Pan Halezyński, który był przyjechał na jakiś czas przed śmiercią łowczego, teraz począł znów występować ze swojami pretensjami i przysłał woźnego, który wręczył pozew do sądu z powodu naruszenia granic.

— Cóż to za bezczelny i fałszywy człowiek —rzekł Andrzej, biorąc pozew i pokazując go panu Zukowi — wszak

hosticum” czyli po najeźdźcach. Pozostawili oni po sobie kraj zniszczony i opustoszały, który trzeba było na nowo od-budowywać. Każdy musiał strzedz swego kawałka ziemi z bro-nią w rękę, bo inaczej nie mógłby się przy nim utrzymać. Było to podobne bardzo gospodarstwo, do tego, które prowa-dzili pierwsi osadnicy w dziewiczych puszczech Ameryki, tylko zamiast czerwonoskórych, tutaj byli Tatarzy, Lipkowie i roz-bójnicy, zwani niekiedy Lewensami. W Hordijowcach codzien-nie wieczorem pan Żuk obchodził naokoło dwór i całą sadybę, patrząc, czy gdzie nie kryje się jaki rabuś. Za dworem znajdo-wał się dość duży ogród, a tuż obok wznosił się las ciemny i gęsty, inogący być dobrą kryjówką dla zbójców. Czasem gdy pan Zuk powracał z jarmarku, opowiadał rozmaite wieści o na-padach jakie czynili Samuś i Szpak, dwaj naczelnicy band zbó-



Pałac królewski w Łazienkach w Warszawie.

wiem od ojca, że to on właśnie naruszył granice i kazał lu-dziom rozrzucić kopce.

— Mój chłopcze, ty się już do tego przygotuj, że bę-dziesz wciąż nękany coraz niesłuszniejszymi pretensjami, bo to jest były palestrant, który zna na wylot wszystkie wykręty prawne, i zawsze ma gotowych świadków w każdej sprawie.

— Niech robi co chce, ja wiem, że po mojej stronie jest słuszność i nie obawiam się jego zasadzek.

Pan Żuk tylko ruszył ramionami w milczeniu.

Tymczasem nadeszła wiosna i rozpoczęły się roboty w polu; były one w owych czasach połączone z wielu trudno-ściami, bo kraj wyludniony, bardzo mało przedstawiał rąk zdatnych do pracy, a bezustanne napaście zbójcekie, nie do-zwalały na rozwinięcie się życia osiadłego. Działo się to na początku XVIII wieku, niedługo po ustąpieniu Turków z Kamieńca, w czasach zwanych przez współczesnych „post

jeckich, grasujący pomiędzy Bohem a Dniestrem. To też od czasu śmierci ojca, Andrzej na nikogo się nie spuszczał, ale każdego wieczoru sam obchodził dom i pilnował, by roz-stawiono nocne straże, których obowiązkiem było donieść, gdyby dostrzegli jakieś niebezpieczeństwo. Ale tygodnie za tygodniami upływały a w okolicy było dość cicho i żadna wieść o robójnikach nie dochodziła. Wiosna zaczęła się ro-bić bardzo piękną; w sadzie stały drzewa owocowe pokryte białym puchem kwieciami, w lesie na brzozech, klonach i jaw-rach nabrzmiewały pączki, z dębów oblatywał żółtkły, zeszło-rocny liść i ukazywały się ciemno-brunatne gałązki, w któ-tych krążyły młode, wiosenne soki. Wszędzie nad rowami kwitła biała tarnina, na uboczu zaś jarów złociły się od kwi-tających dereni; po kamieniach, z wesołym szunem pędziły potoki a w górze, pod jasnym niebem, rozlegały się głosy najrozmaitszego ptactwa: klekot żórawi mieszał się z kwaka-



Tukany jedzące banany.

niem dzikich kaczek oraz geganiem gęsi lecących olbrzymiemi stadami od południowej strony. Las cały napełniony był szczebiotem, wśród którego wyróżniało się przeciągłe gruchanie dzikich gołębi oraz kukanie kukułki. Tylko słowiki czekały nocnej ciszy ażeby dać się słyszeć, a wówczas

z lasu i z zarośli łożynowych i olszowego gaju płynęły klaskania i długie trele, odpowiadające sobie nawzajem.

Andrzej z panem Zukiem spędzali teraz całe dnie na koniu, bo oprócz zajęć gospodarskich, wraz z wiosną trzeba było wzmocnić baczność z powodu rozmaitych podejrzanych

włóczęgów, krających po okolicy. Nieraz trzeba było uzbroić wszystkich ludzi, aby odeprzeć jakąś szajkę rabusiów, podkradających się do dworu. Owo życie pełne trudów i niebezpieczeństw, miałoby dość uroku dla Andrzeja, gdyby nie ciągle zatargi z panem Halczyńskim i smutek matki, która wciąż była niepokieszona po stracie męża i z tego powodu usposobienie jej stało się zgryźliwym i przykrem, co w nieprzyjemny sposób odbijało się na całym domowym otoczeniu. Dziewczęta także posmutniały a Anka zrobiła się opryskliwą, na twarzy jej odbijał się wciąż wyraz niezadowolenia, szpecący ją niezmiernie. Terenia jak zwykle znosiła wszystko spokojnie, ale spełniając dokładnie co do niej należało, nie troszczyła się o innych i mało zwracała uwagi czy kto obok niej miał jaką troskę; zawsze w równym usposobieniu, zawsze jednakowo rozsądna i cicha, doprowadzała nieraz do rozpaczy porywczą Ankę, która nie mogła pojąć jej obojętności.

— Ja ciebie nie rozumiem wcale! — wołała czasem, gdy wieczorem zostały same w swoim pokoiku — cokolwiek się zdarzy, ty zawsze jesteś jednak spokojna.

— Cóżby to pomogło gdybym się zaczęła miotać tak samo jak ty? Wszak to niczego nie zmienia a nawet przeciwnie, może pogorszyć. Mama jest teraz zboleła i rozdrażniona, więc trzeba unikać wszystkiego, coby ją jeszcze bardziej rozdrażnić mogło.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze, cóż, kiedy najczęściej powstrzymać się nie zdołam. Bo też od czasu śmierci ojca, wszystko się u nas zmieniło, dom zrobił się ponury jak klasztor, Andrzej także stał się takim sensatem, że go poznać nie mogę, chce naprawdę udawać względem nas starszego brata i opiekuna; to mi dopiero opiekun, co jeszcze w zeszłym roku razem ze mną po drzewach łąził!

— A jednak on jest w istocie naszym opiekunem i musimy go słuchać — odrzekła Terenia.

— Ani myślę go słuchać! — odparła Anka rozdrażniona — i jeżeli mu się zdaje, że będzie mię traktował jak niedorośłą dziewczynkę, to się bardzo omylił. Pokażę mu, że już jestem dorosłą!

— Anko, bój się Boga, co ci się stało? Jakże możesz w ten sposób się odzywać, kiedy wiesz dobrze, że sam świętej pamięci nasz ojciec, zlecił mu opiekę nad nami, i że za jego wolą wszystko się dzieje.

— A to dla czegoż Andrzej dziś przy wieczerzy spojrział na mnie z taką surową miną gdy powiedział, że nie chcę nic jeść?

— Boś do matki odezwała się w sposób opryskliwy, a wiesz, jak on zawsze szanował matkę i jeszcze gdyśmy dziećmi byli, nieraz cię strofował za to.

Anka spuściła oczy i nic nie odpowiedziała, ale twarz jej wciąż pozostała zadąsaną i niechętną.

Nazajutrz Andrzej powrócił zmęczony wieczorem i zastał wszystkich w domu w zwykłym nastroju. Łowczyzna miewała teraz najczęściej oczy zapłakane i wyraz twarzy zboleła; Terenia zaś krzątała się około zastawienia wieczerzy, spokojna i obojętna jak zazwyczaj, podczas gdy Anka pomagała jej z wyrazem zniechęcenia, malującego się w całej postaci. Domownicy zaczęli się schodzić powoli do wieczornego posiłku; nadszedł pan Żuk, ocierając spocone czołochrypiły od całodziennego wydawania rozkazów na polu i wszyscy stół obsiedli.

— Jakże tam z siejbą, panie Żuk — zapytała łowczyzna — czy już prędko skończycie?

— Jutro już będzie koniec, pani łowczyzno dobrodziejko — odrzekł pan Żuk.

— Daj Boże — odrzekła łowczyzna z niedowierzaniem. — Już to od śmierci ś. p. mego męża, wszystko nie tak idzie jakby iść powinno. Od kiedy on nas opuścił, niema komu dbać o to, co zdobył własną pracą i zapobiegliwością...

Tu łowczyzna otarła oczy w których łzy się pokazały, jak to się działo zazwyczaj gdy wspomniała zmarłego męża. Andrzej nic nie odpowiedział, choć te słowa boleśnie go dotknęły, tylko spojrział na matkę z głębokim smutkiem.

— Biedna matka — pomyślał — żal po ojcu uczynił ją niesprawiedliwą!

Anka, siedząca naprzeciwko, zauważyła to spojrzenie brata i odpowiedziała na nie wzrokiem współczucia, bo zrozumiała, że te słowa go zboleły. Pierwszy raz pojęła jak była samolubną dotąd, myśląc jedynie o własnych przykrościach.

(d. c. n.)

## ŁAZIENKI.

Nazwa ta pochodzi od łaźni istniejących w tem miejscu za czasów książąt mazowieckich, obok zamku Jazdowskiego, czyli Ujazdowskiego i zwierzyńca, w którym królowie polscy chętnie polowali. Najświetniejszy stan Jazdowa był za pszemieszkujących w nim królowej Bony i córki jej Anny Jagielonki. Po wojnach szwedzkich jednak tak zamek jak ogrody uległy zupełnemu zniszczeniu. Jan Kazimierz darował je Lenhofowi, podkomorzemu koronnemu, który później praw swoich do tej miejscowości ustąpił marszałkowi Stanisławowi Lubomirskiemu. Ten, nie szczczędając kosztów, wystawił piękny pałac w Jazdowie, a ogrody na nowo starannie urządził, lecz dopiero Stanisławowi Poniatowskiemu, który jeszcze przed elekcyą nabył je od Lubomirskiego, Łazienki zawdzięczały swój rozwój i okazałość; on to zamienił dawne łaźnie w piękny pałac letni, a zwierzyńiec w park przeistoczył. Wszyscy niemal ówczesni celniejsi artyści przyczyniali się do upiększenia ulubionej rezydencji króla. Po śmierci Stanisława Augusta spadkobiercy jego, mianowicie Teresa Tyszkiewiczowa w r. 1817 sprzedała Łazienki Aleksandrowi I-mu Cesarzowi Rosyjskiemu. W pałacu, obok wielu cennych zabytków sztuki i pamiątek przeszłości, w niszach przedsiionka mieszczą się posągi czterech królów polskich: Kazimierza Wielkiego, Zygmunta Starego, Stefana Batorego i Jana Sobieskiego.

Do chwili obecnej park łażienkowski, ze znajdującym się w nim pałacem, teatrem letnim, Pomarańczarnią zwanym, posągiem Sobieskiego, przedstawionego jako pogromcę Turków, stanowi jedną z najpiękniejszych ozdób Warszawy, a rosnące w nim piękne, rozłożyste drzewa, stawy szeroko dookoła rozlane, zachwycają cudzoziemców, zwiedzających ciekawości naszego miasta.

## TUKANY OLBRZYMIE.

Najpospolitszymi ptakami w lasach Ameryki południowej obok papug są tukany. Wyróżniają się one olbrzymim dziobem i poszukiwane są przez krajowców, zarówno dla pięknych piór, jak i dla mięsa. Przyrodnicy długi czas mieli wątpliwość czem się żywią tukany, dziś ustaliło się mniemanie, że ptaki te zarówno roślinnej jak i zwierzęcej używają strawy, a zwłaszcza jedzą chętnie małe ptaszki. Umieją się też zręcznie posługiwać długimi dziobami swemi, przy zrywaniu owoców i zbieraniu nawet tak drobnych ziarneczek, jak nasienie konopi. Ziarno takie tukan chwytą końcem dzioba. Pijąc, porusza się tak dziwacznie, iż niektórym nasunęło się przypuszczenie, że wpierv dziobem zakreśla nad wodą znak krzyża. Największy gatunek tukanów zamieszkuje górzyste okolice środkowej i południowej Ameryki, a najchętniej gnieźdzą się w zarostach. Ptak ten ma długości przeszło pół metra, kolor piór jego czarny, z tarczą na szyi białą lub czerwoną. Nadzwyczajnej wielkości dziób, dorównujący całej jego długości, pomimo względnej lekkości swojej utrudnia mu ruchy. Tukany usposobieniem przypominają nasze kruki i równie łatwo, jak te, dają się oswajać.

# SFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

— Jeśli tak było, panie, ja nie wiem... chciej mię pan zrozumieć, ja już nic nie wiedziałem, co się wkoło mnie działo. Łódź płynęła... płynęła... a w mojej głowie robiło się ciemno...  
— A ten drobny biały pył, niby popiół, który padał z nieba?..

— Nie pamiętam go wcale...

— Czy to nie był śnieg, Petersie?

— Śnieg?... Albo ja wiem... może był śnieg... Ale nie, ciepło było wtenczas!... Co powiedział Prym... trzeba wierzyć Prymowi.

Zrozumiałem, że co się tyczy nadzwyczajnych zjawisk opisanych w pamiętnikach, nie otrzymam od tego człowieka żadnych objaśnień, i jeżeli w ogóle było w tem coś prawdy, to zatrzeć się musiało w niezbyt wrażliwej jego pamięci.

— Ja nie wiem nic — mówił dalej Peters, zniżając głos, ale Prym opowie to wszystko panu... on widział, niech mu pan wierzy...

— Bądź spokojnym, uwierzę mu — zapewniałem, nie chcąc zasmucać biedaka.

— Bo my będziemy go szukać, prawda panie?..

— Mam nadzieję...

— Pojedziemy po Pryma, skoro odnajdziemy Wiliama Guy i pięciu marynarzy z Orionu?..

— Tak, skoro odnajdziemy tamtych...

— A nawet jeśli ich nie znajdziemy?..

— Nawet w tym razie sądzę, że zdołam wpłynąć na kapitana.

— Oh, on pewnie nie odmówi pomocy takiemu jak Prym człowiekowi.

— Być może, że nie odmówi, wszakże, jeżeli Wiliam Guy i jego towarzysze żyją, czyż można się spodziewać, aby Artur Prym...

— On żyje, panie, on żyje! — zawołał Peters — on jest tam... on mię czeka! Mój biedny, biedny Prym! I jaka to będzie radość, gdy się rzuci w moje objęcia... a ja... ach!... i pierś Dick Petersa wznosiła się i opadała gwałtownie, jak fale wzburzonego morza.

Zapewne by ukryć swe wzruszenie, ten na wpół tylko cywilizowany człowiek, mający jednak ukochać serdecznie, odszedł spieszny krokami, zostawiając mię na pastwę przeróżnym myślom i uczuciom.

W ciągu 2-go, 3-go i 4-go stycznia, żaglowiec nasz posuwając się dość szybko, nie napotkał przecież żadnej ziemi i zawsze ta sama, niczem nie przerwana linia półkola rysowała się przed nami, łącząc niebo z przestrzenią wodną.

— Czyż mielibyśmy przyjąć, że ziemie widziane przez Petersa, były tylko optycznym złudzeniem, przytrafiającem się dość często w tych najwyższych podbiegunowych regionach? — myślałem już nieraz.

— Właściwie od chwili opuszczenia Tsalal — zauważyłem w rozmowie z kapitanem — Artur Prym nie posiadał żadnych narzędzi, nie mógł więc też brać żadnych wymiarów.

— Otóż to właśnie przyczyna, dla której owe ziemie mogą się równie dobrze znajdować, bądź na wschodnim, bądź zachodnim zboczeniu — odpowiedział Len Guy. — Nieodżałowaną też jest rzeczą, iż Prym z Petersem nie wyłądowali na tę ziemię; nie byłoby wtenczas żadnych wątpliwości, sądzę, i moglibyśmy odnaleźć je łatwo...

— Odnajdziemy je i tak, kapitanie, posunąwszy się jeszcze parę stopni dalej...

— Czy jednak nie byłoby lepiej, panie Jeorling — odrzekł Len Guy — gdybyśmy zbadali przestrzeń między 43 a 45 południkiem?

— Chyba zapominasz, kapitanie, że rozporządzamy tylko ograniczonym czasem, a dni poświęcone na to, byłyby bezpowrotnie stracone. Dotychczas przecież nie jesteśmy jeszcze na szerokości, gdzie ci ludzie zostali rozłączeni.

— A jakaż, jeśli wolno zapytać, jest ta szerokość? Nie znalazłem o tem żadnej wzmianki nawet, bo zresztą, jak to pan przed chwilą mówiłeś, niemożliwem było Prymowi obliczyć ją choć w przybliżeniu.

— Masz słusność, kapitanie, a jednak pewnym zdaje się mi być fakt, że Wiliam Guy opuszczając Tsalal, musiał być uniesionym daleko, dochodzę do tego przez porównanie. Bo czy przypominasz pan sobie ustęp, w którym Prym mówi, iż „wielką przebyli przestrzeń.” Piszę zaś o tem 1-go zaledwie marca, zatem do 22-go, pokąd trwała ich wspólna podróż, przy coraz szybszym biegu łodzi, przestrzeń ta musiała dojść setek mil zapewne. A wnosząc z tego, kapitanie, sądzę, że moglibyśmy przyjąć...

— Iż dosięgnęli samego bieguna — przerwał Len Guy — czy tak sądzisz, panie Jeorling?

— Właśnie, sądzę że jest to możliwem, gdyż z wyspy Tsalal byli tylko o 400 mil od tego punktu.

— Cóż mię to wszakże obchodzić może — rzekł Len Guy zimno — ja nie Pryma, lecz brata mego Wiliama, i resztę ludzi z załogi Orionu przybyłem tu szukać. To też najważniejszą i jedyną kwestyą dla mnie jest pytanie, czy mogli oni dosięgnąć owego ładu, o którego istnieniu zapewnia nas z Prymem obecny tu Peters.

Oczywiście, Len Guy ze swego stanowiska kapitana, miał zupełną słusność; zostawałem też w nieustannej obawie, by nagle nie wydał rozkazu zwrócenia statku na wschód lub zachód, coby nas, mojem zdaniem, wytrąciło z drogi prawdziwej, a jak bardzo zależało mi na zwiedzeniu tych ziem, czyż potrzebuje zapewnić?

W dalszym ciągu żeglugi 5-go i 6-go stycznia nie zaszło nic szczególnego, ani też zauważyliśmy jakkolwiek nadzwyczajność z rodzaju tych, jakie podają pamiętniki. Nie było więc ani gęstej mgły, ani białego popiołu spadającego rzęsiwym deszczem z nieba, ani mlecznej białości wody.

Co się zaś tyczy temperatury, która rzeczywiście wyjątkowo w tych stronach dochodziła + 11° Celsjusza, wiele jeszcze brakowało, by jak Prym zapewniał: „trudno było rękę w niej utrzymać. Ze zaś też nikt z załogi naszej nie doświadczał owej ociężałości ciała i umysłu, czyniącej niezdolnym do jakiego bądź ruchu, jakiejkolwiek myśli, prawdopodobnem jest, iż stan w jaki popadł Prym, był tylko wyjątkowym, sprowadzając mu różne przywidzania i halucynacje.

Dnia 9 stycznia poczynione obliczenia wykazały nam tę samą co dawniej długość t. j. między 41 a 42 stopniem, a szerokości zaś 86° 33'.

Czy łódź rozbitków posunęła się jeszcze dalej, zanim nastąpiło spotkanie z lodowcem? Czy możebnem jest, iż gdy jeden prąd unosił ją w tymże co dawniej kierunku, drugi z Petersem szedł w stronę przeciwną? Oto pytania, na które pragnąłem odpowiedzi. Gdy jednak pierwsze, z wiadomych nam przyczyn, pozostać musiało nierozstrzygnięte, co do drugiego stwierdziliśmy, iż rzeczywiście nawet Halbranowi naszemu drugi już dzień prąd przeciwny dał się odczuwać w żegludze. Na szczęście tylko dość silny północny podmuch wiatru nie ustawał, tak, iż w pełni rozwiniętych żagli, podążać mogliśmy naprzód.

Próżno wszakże szukał kapitan ziem spodziewanych; straż w bocianiem gnieździe siedziała milcząca; ani mała wyspa, ani większy ład nie zaznaczyły się w dali, czulem też, iż Len Guy tracił powoli resztki nadziei, która mu jeszcze dotąd pozostała. A jeżeli sam kapitan dochodził do tego stanu, czegoż mogliśmy się spodziewać od załogi? Należało więc, aby powstrzymać jawne oznaki niezadowolenia i buntu, przypomnieć im uczynioną przezemnie obietnicę, i oto prosiłem

kapitana. Gdy zatem wszyscy zebrali się z jego rozkazu około wielkiego masztu, Ien Guy rzekł do nich:

— Marynarze Halbranu! Od chwili opuszczenia wyspy Tsalał, żaglowiec nasz posunął się o 2 stopnie ku południowi, zawiadamiam was przeto, że zgodnie z uczynioną obietnicą przez pana Jeorling zyskaliście 4.000 dolarów, które wam też wypłacone będą po zakończeniu tej wyprawy!

Słaby szmer zadowolenia był jedyną na to odpowiedzią, a okrzyk „hura!” wydany przez bosmana Hurliguerly i kucharza Endirota, przebrzmiał bez echa.

### Niepokojące usposobienie załogi.

Takie usposobienie załogi mocno mię zaniepokoiło; nie wątpiłem, że jest to wpływ Hearn'a. I cóż znaczyło, że starzy marynarze Halbranu gotowi byli pójść za kapitanem nie pytając gdzie i w jakich warunkach, gdy nowoprzybyli zostając w przewadze, stanowili przeciwną nam siłę.

Któż więc zaręczy, że znużony tą głuchą walką kapitan, widząc nadto bezskuteczność poszukiwań, a dręczony widmem wczesnej zimy, sam nie rozkaże powrotu? Jakiejże wagi byłyby wtenczas moje przedstawienia i prośby, gdy nie znalazłby nikogo do ich poparcia?

Nikogo? Przecież był Peters z całą swą potęgą przekonania i nadziei! Ale, któż chciałby słuchać nas obu tylko?

Tymczasem żaglowiec płynął jeszcze dalej, nie zbacząc tak z obranej drogi, jakby go wiodła siła olbrzymiego magnesu; bo zanotować też muszę, że jeżeli przez parę dni zagubiliśmy dawny kierunek prądu, to udało nam się zwrócić znowu do niego, co oczywiście wpłynęło na szybkość żegluga.

Jakże więc daleko mogły zejść łodzie Wiliama Guy i jego towarzyszy, pozbawione żagli, więc jedynie ulegające tej sile! Na nieszczęście jednak, nie mieliśmy żadnej pewności, aby rzeczywiście w tę, a nie w inną podążyły stronę.

Tymczasem od 10-go do 12-go stycznia, termometr począł opadać i gdy ciepło powietrza wynosiło zaledwie + 8, woda wykazywała nie więcej + 0, 56° Celsyusza. Dotychczas jednak morze było zupełnie wolne, żaden, najmniejszy nawet odłam lodu nie płynął na jego powierzchni.

Gdy 13-go stycznia przechadzał się na pokładzie, patrząc z zajęciem na liczne gromady ptaków, które szybując w powietrzu, spuszczały się nieraz aż na reje naszych żagli, gdzie się czuły zupełnie bezpieczne, (nikt bowiem nie miałby serca czynić im krzywdę w tych stronach, w których sama przyroda niszczy wszelkie życie), zbliżył się do mnie bosman i wskazując na skrzydlate rzesze, zagadnął:

— Zauważyłem rzecz ważną, panie Jeorling.

— Słucham cię bosmanie...

— Czy widzi pan te ptaki? One nie podążają już ku południowi, niektóre nawet obierają wyraźnie kierunek północny.

— Właśnie to samo zwróciło już moją uwagę.

— A mnie się jeszcze zdaje, że nawet te, które już tam poleciały, niebawem będą z powrotem...

— I jaki z tego czynisz wniosek?

— Wniosek bardzo prosty, panie Jeorling; ptactwo czuje zbliżającą się zimę

— Co też mówisz, bosmanie! Zima już teraz, kiedy wiadomem jest, iż jeszcze całe dwa miesiące należy się nam lata.

— A jednak panie...

— To ci się tylko wydaje, Hurliguerly. Sama nawet temperatura powietrza jest jeszcze taką, iż ptaki nie potrzebują trwożyć się przedwczesną koniecznością szukania mniej trudnych warunków.

— Alboż my wiemy co właściwie dla tych stron jest przedwcześnie!

— Wiemy jednak, choćby nie więcej jak to, że wszyscy podróżnicy mogli osiągnąć regionów antarktycznych, aż do miesiąca marca.

— Tylko, że nikt nie był jeszcze tak daleko, nikt, aż na tej szerokości!... Zresztą, jeżeli są wczesne lata, bywają też wczesne zimy i obawiam się, iż tegoroczna nie zechce czekać, aż my jej miejsca ustąpimy.

— Choćby też nawet była wczesną, nie trwożę się wcale, by nas wyprzedziła w powrotnej naszej drodze, najdalej za jakie trzy tygodnie...

— Czy tak na pewno za trzy tygodnie? A któż wie, czy nie zatrzyma nas jaka przeszkoda...

— Wymyślasz najgorsze rzeczy, bosmanie, jakaż znowu może być przeszkoda?

— Któż to odgadnie! Któż przeczuć zdoła co się tam dzieje, tam blisko osi ziemskiej. Toż dla nas ludzi świat to całkiem nieznaną — rozumował stary marynarz.

— Nie przeczę, obcym nam jest zupełnie...

— Mam też wielkie wątpliwości co do ziemi, którą Peters miał niby tu widzieć, i na której mamy szukać naszych biednych rozbitków.

— Dla jakiej przyczyny wątpisz o tem, bosmanie?

— Bo Wiliam Guy rozporządzający tylko wątłą łodzią, nie mógł dopłynąć aż tak daleko...

— Zdanie moje w tym względzie nie jest tak stanowcze...

— A jednak panie Jeorling...

— Bo rozważ tylko, Hurliguerly, cóżby w tem było zadziwiającego, gdyby Wiliam Guy unoszony tym prądem, którego siłę poznaliśmy sami, dostał się wtenczas tam dalej jeszcze, do jakiejś wyspy lub większego lądu, i na nim się zatrzymał. Przecież jemu na tę podróż w lekkiej, jak sam mówisz, łodzi, nie potrzeba było długich miesięcy czasu. Samo więc to prawdopodobieństwo powinno wystarczyć, byśmy nie zaniedbali dalszych poszukiwań.

— Nie wszyscy jednak, panie Jeorling, są tego zdania — odpowiedział bosman, kiwając głową.

— Wiem o tem, i to mię najwięcej trapi. Powiedz mi jednak, czy niezadowolenie wzrasta wśród załogi?

(d. c. n.)

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

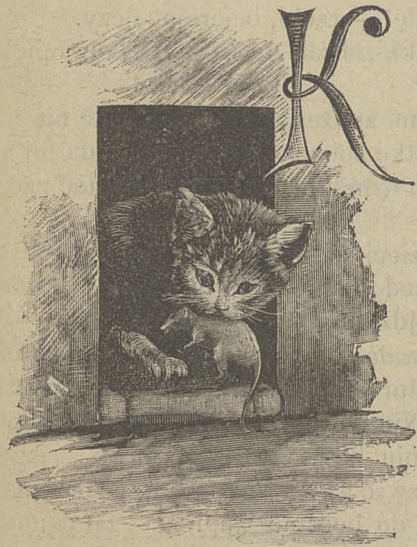
ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Zaduszki, wiersz przez Maryę S. (z ryc.) — O robótkach wakacyjnych. — W starożytnym Rzymie. — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańska. — Łazienki (z ryc.) — Tukany olbrzymie (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusz Verne'a, przekład M. D. — Dodatek: Nieposłuszna myszka, wiersz (z ryc.) — U ciotki Polci. — Jagienka przez Z. R. — Zamknięcia i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Poza gniazdem przez Teresę Jadwigę.



# WIECZORY RODZINNE

## Nieposłuszna myszka.



**K**iedyś myszka, myszka mała  
Z której ślepków patrzą figle,  
Gdy ich wiele już spletała  
Kręciła się jak na igle.  
Tu podskoczy, tu przycupnie,  
Tego liźnie, tego chrupnie,  
Mama mówi, to zaszkodzi!  
Ale myszkę nie obchodzi.  
Co tam! tup, tup, dalej w nogi,  
Aż zatrzęsą się podłogi.  
A jak leci — wicher, burza,  
Wszystko tłucze, zrzuca, łamie,  
Ale myszka dość już duża  
Więc to przykrość sprawia mamie.  
A co gorsza, że przestrogi  
Ona nigdy nie usłucha;  
Mów co do niej, to jak głucha,  
E! co mi tam! i już w nogi.

Raz się wkoło wieść rozległa  
Że ogromne gdzieś kocisko  
Zjawiło się i jest blisko,  
Więc się każda myszka strzegła,  
I siedziała obok mamy,  
W głębi swojej mysiej jamy.  
Jedna tylko nasza mała,  
Co to mamy nie słuchała,  
Na świat Boży wyjrzeć rada  
Myśli sobie: et, przesada  
Bredzą stare myszy głupie,  
Ho! ho! mnie to kot nie schrupie.  
I wyleci wnet mądrala,  
Jeszcze głośno się przechwała.  
Aż tu nagle kot wyskoczy  
Żółtym blaskiem świecą oczy,  
Kusa rada mości panie  
Połknął myszkę na śniadanie.



## U cioci Polci.

— Ja nie rozumiem wcale twego objaśnienia — rzekł Kazio — bo nie mam wyobrażenia o prasowaniu chustek do nosa.

— Kiedy tak, to ci pokażę, jak się to robi — odpowiedziała Zosia, składając szybko swój arkusz papieru na wpół, poczem ze złożonym arkuszem jeszcze raz powtórzyła tę czynność. Oto masz — rzekła — to właśnie jest środek, czyli *a*.

— Bardzo dobrze, Zosiu — rzekła ciocia Polcia — jest jednak inny sposób znalezienia środka, oto mianowicie, każdy róg oznaczę literą inną, na przykład *e*, *d*, *e*, *f*, (fig. 3). Powiedz mi teraz Kaziu, jakim sposobem środek znajdziesz?

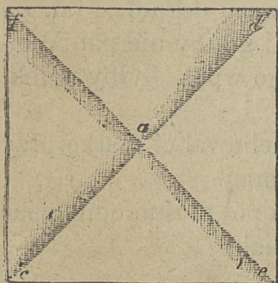


fig. 3.

— Trzeba róg naznaczony literą *c* złożyć tak, aby z rogami *d* się łączyły, potem otworzyć papier złożony na wskos i powtórzyć to samo, przykładając róg *e* na róg *f*, wówczas znaj-

— Doskonale Kaziu — zawołała ciocia Polcia — wytłumaczyłeś nam rzecz całą bardzo dokładnie. A ty Henrysiu nie spiesz się zbyt i bądź uważnym, a staraj się mocno nacisnąć paznokciem przy składaniu papieru, żeby mieć dokadne znaki.

— Cóż teraz mamy robić? — zapytał Kazio, pragnąc żeby mu coś trudniejszego dano do roboty.

— Weź róg *c* i zegnij go tak, żeby do *a* dotykał — rzekła ciocia. Postąp w dalszym ciągu tak samo z rogami *d*, *e*, (fig. 4).

— Nasze rogi papieru wyglądają teraz jak kieszonki — zrobił uwagę Henryś.

— Zaraz je jeszcze bardziej do torebek zrobimy podobne — odparła ciocia. — Niech każde z was obróci swój zagięty arkusz ku stołowi, a teraz pozajajacie znów każdy róg do środka.

Dzieci zrobiły dokładnie co im ciocia wskazała, zaciekawione swą robotą.

— Ciocia nam mówiła, że teraz nasza robota bardziej do torebek stanie się podobną — wtrącił Henryś —

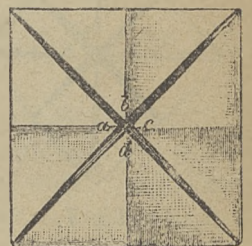


fig. 4.

tymczasem przeciwnie, zdaje mi się, że one bynajmniej nie są podobne do tego (fig. 5).

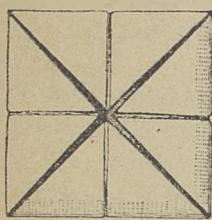


fig. 5.

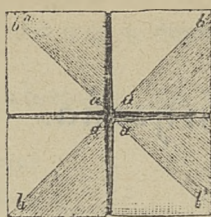


fig. 6.

— Przewróć tylko na drugą stronę twą robotę — rzekła Zosia — jak ja to zrobiłam, wówczas przekonasz się jakie masz ładne cztery torebki (fig. 6).

— Masz rację, siostrzyczko — zawołał Henryś, który zaraz posłuchał Zosi, i teraz pokazywał wszystkim swe dzieło, z czego Irenka skorzystała, wsuwając swe paluszki do środka torebek.

— Czy jeszcze raz nam każesz powtórzyć tę robotę ciociu? — zapytała Zosia.

— Zgadłaś, moja droga, trzeba jeszcze raz rogi pozaginać do środka, lecz będzie to raz ostatni.

— Czy mamy znów papier przewrócić? — zapytał Kazio.

— Tak — potwierdziła ciocia Poleia, skinąwszy głową.

— Mamy znów cztery torebki przed sobą — rzekł Henryś — a każda z nich ma jeszcze w dodatku po dwie małe torebki.

— Ale ja chcę mieć lalkę — zawołała Irenka, znużona już temi rogami i torebkami, o których ciągle mówiono.

— To, cośmy zrobili nie bardzo do lalki podobne — zauważyła Zosia.

— Niech wam nie będzie tak pilno, moje dzieci — odparła ciocia Polcia — no, a teraz musicie być bardzo ostrożne. Przewróćcie waszą robotę tak, żeby na stole leżała w tej pozycji (fig. 7) i dodajmy każdemu z rogów gromadzących się do środka miano *a*. Teraz trzeba żeby każde z was włożyło palec pomiędzy dwie małe torebki, jak je Henryś nazwał, podczas gdy pod naznaczonym *a*

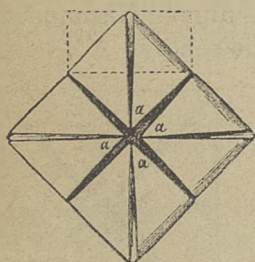


fig. 7.

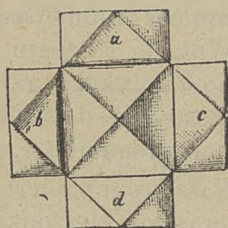


fig. 8.

miejszem duży palec podłożyć trzeba. Następnie trzeba otworzyć małe torebki i zagiąć papier w taki sposób, żeby utworzyć podługową torebkę. Powtórzcie na każdym rogu tak samo, wówczas otrzymacie figurę podobną do tej, co mówiąc ciocia Polcia pokazała swoją robotę (fig. 8).

Dzieci bez najmniejszej trudności zrobiły to, co im ciocia Polcia pokazała.

(d. c. n.)

# JAGIENKA

PRZEZ Z. R.

(Ciąg dalszy).

— To ty będziesz go słuchała?

— Będę.

— No, to i ja będę! — rzekł, ocierając oczy.

Agata i pan Wojski, zabrali dzieci pod swoją opiekę.

\* \* \*

Jagienka, pomimo znużenia, noc całą spać nie mogła; myśl, że jutro matkę zobaczy, nie opuszczała jej ani na chwilę. Nad ranem usnęła, ale zaledwie świtać zaczęło, Agata ją zbudziła:

— Zbudź się, dziecino! — szeptała, pochylając się nad nią — wotywa przed cudownym obrazem na waszą intencję wychodzi: pójdziemy jej wysłuchać.

Dziewczynka zerwała się, poczęła się spiesźnie ubierać, Agata pomogła Jurasiowi, i za chwilę wprowadziła dzieci do kościoła. Nie widziały nigdy tak wspaniałej świątyni. W milczeniu przeszły całą nawę, Agata wzięła je za rączki, a zwróciwszy się na lewo, sprowadziła po kilku schodach do bocznej kaplicy. Tu panował zmrok prawie jeszcze zupełny, ołtarz tylko jarzył się światłem. Mnóstwo ludzi napełniło już kaplicę, a taka tam cisza zalegała, jakby było pusto.

Ksiądz wyszedł z zakrystyi, przystąpił do ołtarza... uderzono w kotły... zabrzmiały trąby i odsłonięto obraz święty! Wszystkie ręce wzniosły się w górę, z wszystkich piersi wyrwały się głośne westchnienia... wielu płakało, lub rzucało się twarzą do ziemi... jedni dziękowali za otrzymane łaski, drudzy prosili o nie... A Matka Najświętsza, promieniejąca w obrazie, słuchała dziękczyniń i próśb zanoszonych, i te, które płynęły z serca pobożnego i czystego, brała w ręce swoje i odnosiła do Syna Swego, mówiąc: — Czyste są i pobożne, proszę, weź je i wysłuchaj! — A Bóg Syn, spuszczał zaraz ukojenie, pociechę, podnosił z upadku, leczył kalectwa, rozszerzał sławę cudów świętej swojej matki!..

Agata wzniosła ręce i na głos zawołała: — Dzięki ci, o dzięki, Matko miłosierna, za cudowne ocalenie!.. przypadła twarzą do ziemi i krzyżem leżąc słuchała mszy całej. Jagienka przycisnęła czoło do zimnych kamieni, modliła się w pokorze, dziękując za opiekę nad sobą i Jurasiem, a prosząc o zdrowie dla matki.

Juraś, na głos trąb i kotłów zrazu drgnął, i tak się nastraszył, że zerwał się na nóżki, i gdyby nie pan Wojski, który klęcząc za dziećmi ujął go wpół, byłby uciekł z kościoła.

— Módl się, że Pan Bóg zachował ci matkę przy życiu — rzekł mu cicho pan Bartłomiej.

Juraś złożył rączki i zaczął na pół głośno odmawiać wszystkie modlitwy, jakie tylko umiał.

Msza skończyła się, cudowny obraz zasłonięto, i pan Wojski wyprowadził dzieci z kościoła.

Na korytarzu klasztornym, zatrzymał się przed jednymi drzwiami, za chwilę rozwarły się one, i stanął w nich ksiądz przeor. Uśmiechnął się do dzieci, zrobił znak krzy-

za świętego nad ich głowami, a zwróciwszy się do pana Wojskiego, rzekł: Można wejść.

Weszli — okrzyk radości wyrwał się z dwóch piersi matki i córki! I już tuliły się w objęciu! Słów nie miały, a i mnie ich brakuje do odmalowania szczęścia tego. Nic nie mówiły, bo nie mogły mówić. Pani miecznikowa wzięła w końcu główkę Jagienki w obie ręce, podniosła i wpatrywała się w jej twarz, oczy, tuląc do ust gorących, całowała czoło, włoski jasne a jeszcze przemówić nie mogła.

Juraś stał zapatrzonej na nie, ale nareszcie zaczął ciągnąć Jagienkę za sukienkę.

— Jagienka — wołał — Jagienka, a gdzie moja mama?!

W tej chwili drzwi się otworzyły, i wbiegła pani staroscina Zabrzaska, młoda jeszcze i piękna.

— Dziecko moje! syn mój! Juraś! O Matko cudowna, przyjęłaś moją ofiarę i wracasz mi skarb mój! — Podniosła go jak gdyby był malutkiem dzieciątkiem!...

Darmo wysilałabym się na opisanie bezgranicznego szczęścia, jakie unosiło się nad temi dwiema matkami! łatwiej je pojąć niż w słowach wyrazić.

Od tej pory, zaczęły się dla dzieci dni pełne radości; nie rozumiały, zresztą nikt przed niemi nie mówił o niebezpieczeństwie jakie groziło klasztorowi od Szwedów. Mieli już ojcowie Paulini pewne wiadomości, że Szwedzi klasztor oblegać będą. Przeworność i rozsądek kazały zawczasu pozamykać bramy fortecy, a przeto odmawiać ludowi okolicznemu nabożeństwa w kościele. Ojcowskie serce księdza przeora, cierpiało na tem, ale uczynić to musiał dla bezpieczeństwa, obrony Najświętszej Panny, aby przybytek jej święty uchronić od zniewag. Wiadomem było, że Szwedzi nie umieli uszanować kościołów, nieraz wprowadzali do nich konie, sami rozkładali się z pijatyką, z bluźnierczymi mowami. Ksiądz przeor nie myślał poddać klasztoru, więc nietylko bramy zamykał, ale i mury naprawiał, żywność gromadził, kilka armat, dotąd służących tylko do wystrzałów przy uroczystościach kościelnych, czyścić kazał, wzmacniał załogę, pilnie przeglądał zapasy prochu i kul i powiększał je, sprządzając skąd było można.

Naradzał się przedtem z drugimi ojcami, i kilku sławnymi rycerzami, którzy na wieść o niebezpieczeństwie Jasnejgóry, przybyli do fortecy z postanowieniem oddania życia swego w usługach Najświętszej Panny.

Dzieci o tem wszystkim nie wiedziały, były szczęśliwe i wesole, jak ptaszęta na wiosnę. Juraś nie rozumiał już zabawy bez Jagienki, zaraz rano wymykał się do niej, i cały dzień jej nie odstępował. Przygody tych dzieci obiegały z ust do ust cały klasztor, wszyscy zajmowali się niemi, każdy rad był je przygarnąć do siebie, zrobić im jaką przyjemność, obsypywano je łakociami, pieszczotami.

A roilo się od ludzi na Jasnej Górze, wielu schroniło się tam przed Szwedami, inni przybyli by załogę klasztorną wzmocnić. Pan Zamoyski przywiódł swoich zbrojnych ludzi, pan Piotr Czarnecki, bratanek wielkiego wodza, pana Stefana Czarneckiego, oddał się na usługi w obronie Najświętszej Panny, i wielu innych. Dzieci

zaprzyjaźniły się niemal ze wszystkimi, a już przyłgnęły całą duszą do pana Piotra Czarneckiego.

Juraś dowiedziawszy się, że ten „wielki żołnierz,” (tak go nazywał), jest Czarnecki, przybiegł zaraz do niego, pytając:

— A gdzie mój tatuś?

— Nie wiem, gdzie twój tatuś, skądże mam to wiedzieć?

— Powinniście to wiedzieć, rycerzu! a któż będzie wiedział, jeżeli nie wy — „wielki żołnierz.”

Wielki żołnierz uśmiechnął się do dziecka.

— Dla czegoż ja mam to wiedzieć?

— Bo tatuś pojechał do was, rycerzu, razem z wami bić Szwedów, i mówił do mamy, gdy wybierał się na wojnę — „pojadę do Czarneckiego, bo to wielki żołnierz!” No, to chyba wy, rycerzu, ten wielki żołnierz, bo doprawdy, że tu nie ma większych.

— Nie, mój maleńki, tym „wielkim żołnierzem” o którym mówił twój tatuś, że pójdzie z nim Szwedów bić, jest mój stryj, Stefan Czarnecki. Ja tu dopiero czekam na Szwedów by ich bić.

— O, to dobrze! — zawołał chłopczyna — to i ja będę ich bił razem z wami.

Od tej pory zawiązała się wielka przyjaźń między nimi. Pani miecznikowa rychło powróciła do zdrowia, ale nie opuszczała zajętej izby, w której mieściła się z dziećmi. Młodsze dzieci mało też wychodziły. Nastaly chłody i przymrozki. Ale Jagienka i Juraś wybiegali chętnie na dziedziniec klasztorny, a często nawet aż do murów i wałów fortecznych, gdy tylko ujrzeli tam pana Czarneckiego.

W klasztorze nie ustawały przygotowania do obrony. Jednej nocy zbudziły ojców Paulinów, załogę klasztorną i wszystkich mieszkańców, wystrzały armatnie...

Jagienka zerwała się ze snu.

— Mateczko! co to? burza? pioruny? krzyknęła przestraszona: zdawało się jej, że znów jest w lesie, że przechodzić będzie na nowo niedawno przebytą grozę.

Pani miecznikowa siedziała już na łóżku modląc się głośno; wiedziała, że to nie burza; zrozumiała, że Szwedzi już są pod Częstochową!

— Moje dziecko, pomódl się, by Bóg odwrócił niebezpieczeństwo od tego świętego przybytku i od nas wszystkich!

Jagienka pobiegła do matki, ukłękła przy łóżku i modliły się obie.

Rozbudzeni ze snu i przerażeni księża wychodzili ze swoich cel — gdzieś tam zabłysła latarka z pod białego habitu, rycerstwo wysypało się na wały, mieszkańcy wszyscy, gromadkami stali na dziedzińcu klasztornym.

Ksiądz przeor obchodził wszystkich, uspokajał i ducha dodawał. Strzały nie były kierowane na klasztor, lub grzmiały ślepymi nabojami, to jest samym prochem, bez kul, bo ani jedna nie uderzyła w mury. Wkrótce też ustały a ozwały się trąby, które oznajmiły chęć porozumienia się z załogą forteczną. Wpuszczono posła szwedzkiego, który przyniósł żądanie poddania klasztoru podpisane przez Müllera, generała szwedzkiego i groźbę, że gdy mnisi się zechcą bronić, zburzy fortecę i w gruzy

Szarady: Ja — s — kółka.

Łamigłówki w kwadracie:

G r e n a d a  
 G o w o r e k  
 K a l i o p e  
 K a n g u r y  
 M a r m o r a  
 K a l k u t a  
 K u k u ł k a

Łamigłówki w trójkącie:

J a n S t y k a  
 A n t y o c h  
 N i n i w a  
 S e r e t  
 T e b y  
 Y a k  
 K a  
 A

SZARADA.

Pierwsze wspan, w alfabecie zwyczajna litera.  
 Drugie z czwartem dwojakie znaczenie zawiera.  
 Bo stosować się daje i do ludzkiej twarzy,  
 I moralne znaczenie miewa gdzie się zdarzy.  
 Lecz za to trzecie z czwartem, rzecz powszechnie znana,  
 Są niezbędne dla wszystkich jak węchu organa.  
 Wszystko wraz to zwierzęta, nie słynące zbytkiem  
 Rozumu, ale za to darzące pożytkiem.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ułożył Roman G.

- 1 . . . . . W kwadracie o 6 przedziałkach
- . 2 . . . . . ułożyć w każdym rządzie wyraz
- . . 3 . . . . . sześciogłoskowy, aby litery o-
- . . . . 4 . . . . . znaczone liczbami złożyły na-
- . . . . . 5 . . . . . zwę jednego z miesięcy. 1) Imię
- . . . . . 6 . . . . . męzkie. 2) Miasto w Hiszpanii.

3) Kamień używany do wyrobów rzeźbiarskich. 4) Część rośliny dostarczająca jej pożywienia. 5) Miasto w Austrii. 6) Miara zboża. Sylaby: Ko—mur—deń—mar—chał—rzec—rzeń—wie—dryt—ko ma — mi.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Ułożył Strzelec z n. Warty.

- 1. Spółgłoska.
- 2. Obecnie zaginiony gatunek wołu.
- 3. Dawna moneta złota.
- 4. . . . .
- 5. Mieszkaniec Krymu lub Kaukazu.
- 6. Miasto w gubernii podolskiej.
- 7. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery złożyć mają nazwę półwyspu w Ameryce północnej.

Skrzynka do listów.

Od M. W. i W. J. otrzymaliśmy rs. 4 na wpis dla biednego ucznia, z objaśnieniem, iż ta kwota przeznaczoną była na upominek imiennowy dla Lucia W. Z całego serca pochwalamy ten postępek, zachęcając naszych czytelników i jednocześnie polecając gorąco ich dobrym serduszkom sprawę wpisów, która w chwili obecnej jest kwestyą palącą, wielu biedaków pragnących się kształcić pozbawieni zostaną dalszej nauki, jeżeli się nie zbierze suma odpowiednia. Kołacemy więc do serc waszych, ufając, że na próżno kołatać nie będziemy, czem kto może, chociaż najmniejszym datkiem niechaj przyczynić się zechce do wspólnej ofiary.

Lucynka i Janek P. przysłali rozwiązanie bardzo dobre, za serdeczne słowa liściku wdzięczni serdecznie jesteśmy. Pismo Lucynki bardzo porządne, Janek nie powinien tracić nadziei, że równie ładnie pisać będzie, bo w waszym wieku dwa lata stanowią już dużą różnicę.

Trafne również rozwiązania i zdaje się, że odpowiednie do druku szarady i lamigłówki przysłali, Kostuś i Zosia M, Ignas i Józio B.

Woni leśniej. Skutkiem spóźnionego powrotu do Warszawy, list twój czas dłuższy pozostawiłam bez odpowiedzi. Żądasz odpowiedzi obszernej, ale zrozumiesz, że dać ci takiej w łamach naszego pisemka nie mogę, bo dział korespondencji nie zajmuje wiele miejsca i nie znając cię, na zapytania odpowiedzieć mogę tylko ogólnikowo. Wiek twój jest najpiękniejszym w życiu, a podniosłe choć nieokreślone dążności i pragnienia stanowią niezaprzeczenie jeden z jego uroków, są jak kwiaty które wiosną pokrywają drzewa, a że z każdego kwiatu nie może być owocu, tak i większość tych młodzińczych aspiracji i pragnień musi się rozwiać. Zbyt mgliste i nieokreślone, zrozumiesz to prędko sama, są tylko prostemi marzeniami wiosennymi! Co do innych zaś bardziej określonych, mogących się ziścić, życzę abyś się doczekała ich spełnienia, pomnąc, że wszystko tu na świecie zależy od woli Boga i od twej własnej pracy i usiłowań.

Jaskółka.